

Myśli i wypowiedzi Picassa o sztuce



Jedno z ostatnich zdjęć Pablo Picassa.

Nie ma nazwiska, które by w ciągu ostatnich 50 lat bardziej przykuwało uwagę świata sztuki niż Hiszpana Pablo Picassa, który w tych dniach obchodził 75-lecie swoich urodzin. Nestor malarstwa francuskiego uważany jest dziś za najwięk-

szego współczesnego malarza. Stworzył legion naśladowców — picassistów we wszystkich krajach, a uwagi jego o sztuce weszły do teorii malarstwa nie tylko francuskiego, ale wszystkich krajów europejskich. Przytaczamy z nich niektóre.

„...Malarstwo nie istnieje po to, aby ozdabiać mieszkanie. Jest to broń do ataku i oręż do obrony“.

„...Kiedy jestem sam na sam z sobą nie mam odwagi uważać się za artystę w wielkim stylu, jakich wydały dawne epoki. Jestem tylko publicznym żartownisiem, który przejrzał czas i według możliwości wyżył się tępotą, próżnością i chciwością moich współczesnych towarzyszy życia“.

„Dlaczego kocha się noc, kwiaty, wszystko, co otacza człowieka bez pragnienia zrozumienia tych zjawisk? Tylko w malarstwie chcemy wszystko zrozumieć“.

„Nie można iść przeciwko naturze. Jest ona silniejsza, niż najmocniejszy człowiek. W naszym własnym interesie leży, zajęcie wobec niej właściwego stanowiska“.

„Są malarze, którzy ze słońca robią żółtą plamę, lecz istnieją również tacy, którzy z rozumą i znajomością rzemiosła żółtą plamę umieją przemienić w słońce“.

„Odczuwam fizyczną udramę, kiedy dostrzegam, że naśladowcę sam siebie“.

„Ja nie szukam — ja znajduję“.

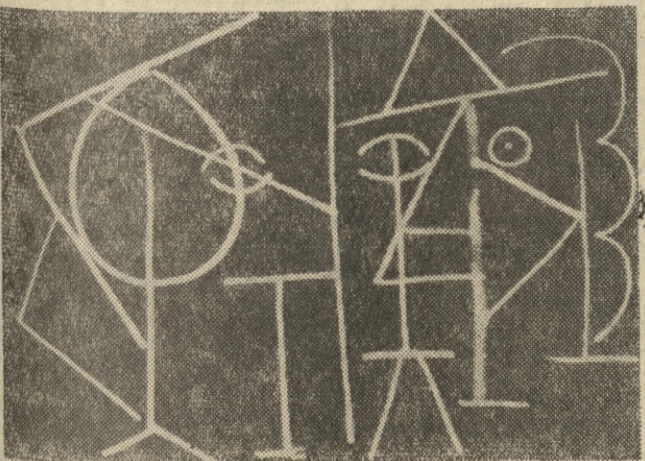
„Duch poszukiwania zatruł tych, którzy nie pojęli całej pozytywnej strony modernistycznej sztuki i którzy niewiedzialnie chcą malować“.

„Czy to człowiekowi podoba się lub nie, jest on dziełem natury. Narzuca mu ona swój charakter i swoje zjawisko“.

„Czy sądzicie, że wystarczy odrodzić się samemu. To, co jest Nowe musi samo się odrodzić“.

„Moje całe życie jako artysty było niczym innym, jak ustawiczną walką z reakcją i śmiercią sztuki“.

(Wybrał H. B.)



Fazy picassowskiego rysunku.

NOWY ŚWIAT

Jean Bedel

Przykład szczerzej i przyjaźniej wymiany myśli

Korespondencja własna API

Po raz pierwszy od czasu wojny spotkali się w starym gmachu Sorbony przedstawiciele nauki Francji i Polski, aby wspólnie radzić nad aktualnymi zagadnieniami socjologii i ekonomii.

Na prośbę rządu polskiego zorganizowano w Sorbonie, staraniem UNESCO, wspólne seminarium polskich i francuskich socjologów. Seminarium to miało na celu ułatwienie ponownego nawiązania kontaktów między uczonymi Zachodu i Wschodu. Jako temat do dyskusji wybrano zagadnienie postępu ekonomicznego i społecznego w ustroju kapitalistycznym oraz w ustroju socjalistycznym.

Nie przypadkowo partnerami w tej dyskusji byli przedstawiciele Francji i Polski. Oba kraje łączą bowiem więzy tradycyjnej przyjaźni i wzajemnego zrozumienia.

Przed seminarium, delegacja polska, złożona z 30 osób, historyków, ekonomistów i socjologów, odbyła podróż po Francji, zwiedzając liczne fabryki i uniwersytety w prowincjonalnych miastach. Po powrocie do Paryża przedstawiciele obu krajów spotykali się codziennie w specjalnie dla nich przygotowanej sali Sorbony, gdzie w szczerzej i przyjaźniej atmosferze omawiali różne zagadnienia dotyczące postępu społecznego w naszych czasach.

Charakterystyczną cechą dyskusji była duża różnica zdań w obu obozach. Zdarzało się bardzo często, że Polacy nie mogli osiągnąć między sobą porozumienia w sprawie takiej czy innej tezy ekonomiczno-społecznej. Także Francuzi prowadzili w swoim gronie zażarte spory na temat różnych zagadnień. Nie brakło też i wzajemnej krytyki. Polacy zarzucali niekiedy profesorom francuskim szermowanie abstrakcyjnymi pojęciami i kwestionowali ankiety statystyczne przeprowadzane wśród robotników francuskich. Francuzi natomiast krytykowali u Polaków brak „naukowego podejścia” do zagadnień społecznych, twierdząc, że uczeni polscy bardziej interesują się problemami moralności ludzkiej, wpływem warunków bytowych na świadomość niż samą teorią socjologii.

Dyskusja przenosiła się często do kawiarenek Dzielnicy Łacińskiej, gdzie przy szklance piwa wymiana zdań była nie mniej żarliwa niż w czcigodnych murach Sorbony. Francuzi byli niejednokrotnie zdumieni szerokim światopoglądem swych polskich kolegów i różnorodnością ich opinii. Studenci polscy ze swej strony krytykowali niekiedy suchy dogmatyzm cechujący niektórych francuskich marksistów. Czysto naukowe dyskusje przekształcały się często w spory natury politycznej, które jednakże toczyły się zawsze w atmosferze swobodnej wymiany myśli i wzajemnej dobrej woli.

Gdy jeden ze studentów francuskich wspominał o kryzysie marksizmu, młody profesor polski M. Baczko odpowiedział mu: „Sądzę, że jeżeli chodzi o Polskę należy raczej mówić o odrodzeniu się historycznej świadomości marksistowskiej aniżeli o kryzysie. Przeżyliśmy ponury okres dogmatyzmu, który narazie skończył się. Zanudzał nas klasa robotnicza zbyt ogólnymi problemami. Nasz instytut socjologii miał wówczas

za wyłączone zadanie zwalczanie ideologii burżuazyjnej. Była to walka w obłokach. Dziś powracamy do rzeczywistości. Zadaniem socjologów jest umożliwienie narodowi polskiemu zapoznania się z podstawowymi problemami naszej epoki, nie zapominając jednocześnie o przeszłości. Problem moralności marksistowskiej nie jest bynajmniej rozwiązany. Będziemy usiłowali dokonać tej syntezy. Nie chodzi w żadnym wypadku o odrzucanie socjalizmu lecz o realizowanie go lepszymi metodami. W Polsce jest odrzucenie marksizmu, nie ma kryzysu“.

Francuzi ze swej strony poruszali takie problemy jak np. niebezpieczeństwo postępu technicznego i usiłowali określić wkład nauk socjologicznych w dzieło cywilizacji przemysłowej.

Konferencja w Sorbonie nie znalazła oczywiście rozwiązania wszystkich omawianych problemów, ograniczając się raczej do ich rozpatrzenia i oceny. Jednakże pozwoliła ona przedstawicielom obu krajów znacznie wzbogacić swój dorobek o nowe doświadczenia.

Bieżący rok, jak dotychczas, dobrze zapisał się w dziejach naszej literatury. Po nieszczęsnym okresie schematyzmu, w którym ukazywały się książki czytane i nagradzane jedynie przez pewnych krytyków literackich, zauważamy na rynku wydawniczym nowaliki, zwiastujące już nie literacką wiosnę, ale wręcz letnią pełnię twórczości, a nawet jesienną dojrzałość niektórych piór. Pozostając przy tych teologicznych porównaniach — można mieć nadzieję, że tzw. „szary czytelnik” nie odczuje już nigdy na własnej skórze przymrozków i mrozów literacko-kulturalnych, które by go zmuszały do ucieczki od współczesnej, ale nudnej literatury do starych, ale ciekawych klasyków polskiej poezji i prozy.

Bieżący rok upływa pod znakiem dużej ilości pasjonujących i wartościowych debiutów literackich. Przede wszystkim weszły na firmamencie nowe gwiazdy poetyckie: Miron Białoszewski (*Obroty rzeczy*), Zbigniew Herbert (*Struna światła*), Bogdan Drozdowski (*Jest takie drzewo*). Ci trzej pisarze (czekamy jeszcze na tomik czwarte go z wielkiej czwórki młodych poetów: Jerzego Harasymowicza) są bardzo odrębnymi indywidualnościami artystycznymi. Najbardziej oryginalny wśród nich jest Bogdan Drozdowski, kontynuator poezji politycznej w najbardziej ciekawym znaczeniu tego określenia. Jego wiersze mówią o Polsce współczesnej, o życiu najbardziej przeciętnego jej obywatela w sposób prosty, a zarazem dramatyczny, który nie lakieruje braków i niedomogów naszego bytowania, a zarazem odznacza się twórczym, chociaż trudnym optymizmem. Inaczej wiersze Zbigniewa Herberta: przypominają one postawę poetycką Tadeusza Różewicza (który też ogłosił nowy zbiorek: *Poemat otwarty*) zwróconą ku latom ostatniej wojny, wyciągającą konsekwentne i surowe wnioski z ogromnego zdziwienia człowie-

TYGODNIOWY

DODATEK „GŁOSU”

Niedziela, 4 XI 1956

Rok VII Numer 43

GDANSK
coraz piękniejszy

Ostatnio pracownie konserwacji zabytków w Gdańsku przystąpiły do prac budowlanych przy kamienicy przy Długim Targu — tak zwanej Sieni Gdańskiej.

Projekt opracowany przez inż. arch. Macieja Kilarskiego przewiduje między innymi odnowienie spodu późniejszych na warstwach gotyckich profili, które odkryto w czasie prac bieżących. Rekonstruowana będzie również stara polichromia. W ten sposób, wydobyta spod późniejszych przemurówek, okaże się oczom wszystkich fasada domu gotyckiego z XV wieku, zwieńczona barokowym szczytem. Gdańsk otrzyma autentyczną elewację, która będzie cennym elementem wśród rekonstruowanych fasad. Tym samym zakończona zostanie odbudowa najpiękniejszego odcinka Długiego Targu.

Na zdjęciu — piękny fronton odbudowanej niedawno „Złotej Kamieniczki” przy ul. Długi Targ.

CAF — fot. Ukłejewski



Jan Stefański

Nowości, nowości...

Zabłysła również nowa gwiazda na niebie prozaików, co do której już wielu krytyków wyraża jednak obawy, czy nie jest ona przypadkiem nietrwałym meteorem lub kometa. Myślę tu oczywiście o Marku Hłasce i zbiorze jego opowiadań zatytułowanym *Pierwszy krok w chmurach*. W opowiadaniach Hłaski brzmi głos młodego, polskiego pokolenia — powiada również młody krytyk, Andrzej Kijowski i trudno mu nie przyznać racji. Jest to proza, w której odczuwa się rytm naszego codziennego dnia, w której poznaje się ludzi spotykanych wciąż na ulicy, zdarzenia, jakie często towarzyszą naszej pracy, obserwacjom, myślom. Te pasjonujące treści potrafił Hłasko w dodatku wyrazić w sposób ciekawy i sugestywny, przykuwający naszą uwagę i zmysły do wywołanego przed nimi obrazu. Ale — i to jest groźne — występują już pewne oznaki, świadczące o powtarzaniu się Hłaski, o pewnej monotonii środków i chwytów literackich, przejętych zresztą przez niego od pisarzy amerykańskich i angielskich. Opowiadanie młodego pisarza, drukowane niedawno w *Przeglądzie Kulturalnym*, obawy te, niestety, w zupełności potwierdza...

Przejdźmy teraz w naszej astronomii — literackiej wdróżyć do gwiazd pierwszej wielkości, które nie od dziś błyszczą na polskim firmamencie. Oto pierwsza z nich: Jarosław Iwaszkiewicz, autor wydanego niedawno przez PIW pierwszego tomu powieści p. t. *Stara i chwata*. W utworze tym, przesyconym w wysokim stopniu elementami autobiograficznymi, znany pisarz podejmuje rozrachunek z trzema epokami najnowszych dziejów Polski, obejmując...

(Ciąg dalszy na str. 5)



MARIA DĄBROWSKA, współczesna, wybitna powieściopisarka i novelistka polska. Do najwybitniejszych jej utworów należą m. in.: *tom opowiadań z życia proletariatu wiejskiego pt. „Ludzie stamtąd” (1925), wielka powieść pt. „Dzień i noc” (1932-34) oraz zbiór opowiadań pt. „Gwiazda zaranna” (1955). Za całokształt twórczości literackiej Maria Dąbrowska otrzymała Nagrodę Państwową I stopnia oraz odznaczona została Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.*

Tarapaty prowincjonalnego muzeum

W czasie służbowego pobytu w Koninie przechodziłem któregoś dnia ulicą Wiosny Ludów i wtedy właśnie uwagę moją zwrócił dziwny sklep. Na pierwszy rzut oka trudno się było zorientować, jaką branżę reprezentuje. W małym i wąskim oknie wystawowym stała bardzo stara skrzynka z zaśniedziałymi okuciami a nad nią wisiała nieduża kartka białego z napisem informacyjnym, że za tym oknem mieści się „Muzeum Regionalne m. Konina — czynne w każdy czwartek w godz. od 16—19.”

Ponieważ był to właśnie czwartek, skorzystałem z okazji, wszedłem i zdziwiłem się, widząc wewnątrz sklepu. Lokal bowiem o wymiarach około 3,5x4 m² był brudny i dosyć ciemny. Wokół ścian stały stoły i gablotki różnej maści i kształtu. Za to w gablotkach i na stołach szereg wartościowych pod względem archeologicznym i dokumentalnym przedmiotów. Wykopaliska z różnych okresów, które nawet, jak zdążyłem zauważyć, z IV w. p. n. e., znalezione na terenach ziemi konińskiej. Wszystko szczegółowo opisane i zaopatrzone w kartki informacyjne, przez kogo dany przedmiot został ofiarowany wzgl. czyją stanowi własność.

Inne ekspozycje rozmieszczone na zwykłych szafkach regałach nie zaopatrzone w żadną etykietę. Zważywszy warunki w jakich znajdują się ekspozycje, należy stwierdzić, że było na nich nawet wyjątkowo mało kurzu. Ściany zawieszono portretami, rzezbami, herbami i szeregiem wykresów obrazujących ruchy wojsk powstańców na terenach ziemi konińskiej w okresie Powstania Kościuszkowskiego i Wiosny Ludów. Przedmiotów wystawowych jest b. dużo, na pewno kilkaset i wszystko to mieści się na 10 w sumie stolikach i gablotkach, również nie oszklonych. Ze względu na brak miejsca, wiele eksponatów znajduje się w szufladach pod stołami.

Zaczęłem się zastanawiać dlaczego tu taki bałagan, kto się tym opiekuje, dlaczego taki mały lokal przeznaczony na muzeum. Czyżby w bądź co bądź 13-tysięcznym mieście powiatowym nie było większego pomieszczenia na ten cel? Przecież Konin to miasto, do którego ze względu na bliskość leżącej kopalni węgla brunatnego zjeżdżają goście zagraniczni z NRD, CSR i ZSR, co powinno choć w pewnym stopniu zobowiązywać ojców tego grodu.

Celem wyjaśnienia tej zagadki, zwróciłem się do pana siedzącego przy jednym ze stolików. Okazało się, że ten pan jest członkiem konińskiego oddziału PTT-K i, jak wynikało z dalszej rozmowy, opiekuje się eksponatami i lokalem tego zaopieczowanego „muzeum”. Muzeum w tym stanie istnieje już około 2 lat i znajduje się niestety — jak stwierdza mój rozmówca, ob. Pecherski — poza orbitą zainteresowań wszelkich władz miejscowych.

Oczywiście ob. Pecherski nie godzi się z tym stanem rzeczy i monitoruje odpowiednie czynniki. Niestety, bez skutku! Z jednego lokalu muzeum prowadzi drzwi zasunięte kratami do sąsiedniego pomieszczenia zajmowanego na jakąś rupieciarnię przez Wydział Finansowy Prez. PRN. Opiekun muzeum od dłuższego czasu bije się o zwolnienie tego pomieszczenia jednak bez rezultatu. Ba, spowodował nawet przyjazd przedstawicieli PWRN i na skutek tego podjęcie uchwały Prez. PRN o konieczności przekazania lokalu dla muzeum. Cóż, kiedy uchwała podpisana przez członków Prezydium pozostała tylko na papierze.

Członkowie Prezydium PRN stale przyznają rację, ale nie mają czasu tą sprawą się zająć. Szkoda, bo muzeum konińskie otrzymało pewną sumę od Okręgowego Zarządu PTT-K i w wypadku przyznania wspomnianego lokalu, mo-

głoby zostać poddane remontowi, aby potem jeszcze lepiej służyć społeczeństwu.

Najbardziej do tej pory eksponatami interesuje się młodzież szkolna. Frekwencja w dni otwarcia wynosi około 30—40 osób. Kiedyś muzeum było otwarte dwa dni w tygodniu, ale co, ob. Pecherski jest też tylko człowiekiem i w obliczu tych wszystkich trudności zaczyna ulegać stopniowo zniechęceniu. „Przecież ja też wolę po pracy pójść na spacer niż siedzieć tutaj” — mówi ze smutnym uśmiechem. Pamiętajmy bowiem, że praca w muzeum jest całkowicie społeczna.

Ob. Pecherski zwracał się także do Prezydium MRN, mieszcząc się vis a vis muzeum, aby sprzątaczkę tamtę, pomieszczeń biurowych przynajmniej raz w tygodniu uprzątnęły lokal muzeum i wytarły kurz. Od powiedziano, że sprzątaczkę MRN mają dosyć pracy, a dodatkowej sprzątaczkę przyjąć nie można, bo... nie zostało to ujęte w planie. Stanowisko to, chociaż b. dziwne, jest w pełni zrozumiałe — przecież jak długo istnieje muzeum, nie miało zaszczytu gości w swych progach ani jednego członka Prezydium MRN!

Zbliża się zima, a co za tym idzie duża zmiana warunków atmosferycznych — lokal muzeum powinien być raz po raz opalany i sprzątany, w przeciwnym razie ekspozycje będą ulegały stopniowemu zniszczeniu.

Muzeum dysponuje również b. bogatym materiałem z niedawnej przeszłości, obrazującym terror i metody okupacyjnych władz hitlerowskich na terenie Konina. Szereg zdjęć fotograficznych pokazujących fragmenty ekspozycji Żydów z miasta. Przeglądając te materiały natknąłem się na bardzo ciekawe pismo niemieckiego żołnierza do władz okupacyjnych w Koninie, mówiące o przyznaniu renty wdowie po jakimś Niemcu zabitym przez partyzantów! (W oryginale: „Von polnischen Partisanen ermordet”).

Aby muzeum mogło te materiały wykorzystać (obecnie leżą stosem na stole) niezbędne jest powiększenie lokalu muzeum. A przecież są możliwości! Może właśnie z okazji niedawnego Tygodnia Ochrony Zabytków ojcowie miasta przeanalizują swój stosunek do muzeum i zechcą i w tej dziedzinie przysłużyć się społeczeństwu swego miasta i... sobie?

Przed kilku miesiącami jeden z poznańskich dzienników omawiał sprawę muzealnictwa w Kaliszu. Z artykułu wynikało, że kompetentne władze przydzieliły na muzeum w Kaliszu odpowiedni budynek oraz 5 (słownie: pięć) etatów. Od tego czasu minęło szereg miesięcy, muzeum jest nieczynne, przyznany budynek nieuprzątnięty, a 5 osób inkasuje pobyty!

Jak smutno wyglądają w tym zestawieniu te dwa fakty.

Może więc teraz kompetentne czynniki ustosunkują się właściwie i konsekwentnie do sprawy Muzeum Konińskiego? Byłby czas...

Stały czytelnik „Głosu”

Od redakcji:

Na temat Muzeum w Koninie pisaliśmy wiele razy. Niestety, bez efektu. Władze powiatu i miasta Konina nie doceniały wcale znaczenia tej placówki kulturalnej, która powstała z inicjatywy miejscowego społeczeństwa. Czyżby rzeczywiście nie można było gdzieś przenieść rupieci PTT-K? Nie. Dowodem tego liczne sklepy spożywcze i warzywnicze, których półki wypełniały (i ratują plany obrotowe) „baterie butelek bynajmniej... nie z sokiem. Można by jeden sklep wódzany zlikwidować z dużym pożytkiem dla mieszkańców miasta i okolicy, a wolne miejsce przekazać Wydziałowi Finansowemu. Zresztą przy dobrych chęciach znalazłoby się z pewnością i inne rozwiązanie.

Ponieważ prawie władza atrymentu została wylana w sprawie muzeum konińskiego, a prezydium PRN i MRN nie widzą do tego czasu jego trudności, zwracamy się tą drogą do radnych o zajęcie się tym zagadnieniem na najbliższym posiedzeniu Miejskiej jak i Powiatowej Rady Narodowej.

Równocześnie czekamy na wyjaśnienia.

Lucja Danielewska

Z młodej poezji poznańskiej

Julian Rynowiecki

Moje miasto Poznań

(fragment poematu)

Wieczór jest ciepły jak kobiece usta,
a woda pluszcze przy mostowych przesłach,
o, gdybym była wikliną nadbrzeżną
na wietrze tak, jak ona bym się trzęsła.

Splątane ryby śmigają stadami
ostatnie barki wodę kryją bryzą,
słońce czerwone zgąsło za domami,
na szalu nieba pierwsze gwiazdy wiszą.

Księżyc po murach Katedry się wspina,
łakomy blasku gotyckich witraży,
a potem srebrzy iglicę Ratusza
co nad snem miasta wciąż czuwa na straży.

Poznań 1956

Buty i 100tej SKORY

Czyjeś ramię podniosło go na wysokość muru — na ogrodzenia. Drżącymi dłońmi wsparł się na szorstkim murze, po czym rozkołysawszy lekko nogi, przerzucił je na drugą stronę.

— Tylko ostrożnie, smarkaczu... — usłyszał już po tamtej stronie szept wuja.

Noc była ciemna, bezgwiezdna.

Okna pokoiku kierownika sklepu odcinały się jasną plamą od ciemnego konturu piętrowego budynku. Pewnie je teraz kolacje. Zesunął się cichutko po murze zapadając w kupę zwiedłych liści. Czuł, że serce bije mu przyspieszonym tempem. Przez sekundę zawałał się. Tam, wyżej jasna plama okna krzyczała do niego: uciekaj, uciekaj chłopcze...

Ale nie uciekł. Bo i dokąd? Podszedł natomiast bliżej. W okratowanym oknie sklepu było ciemno. Mimo woli spojrzął w górę. Okno kierownika rzucało teraz czworokątną jasną plamę na grupę krzewów tuż za nim. Uchwycił klamkę. Drzwi lekko zaskrzypiały a jemu zdawało się, że cała VI b wrzeszczy wskazyując nań palcami. Sien była ciemna, wilgotna.

Za chwilę drzwi skrzypnęły. W nozdrza uderzył ostry zapach kiszony kapusty. Prawą ręką przejechał teraz po futrynie drzwi. Palce zatrzymały się na grubym gwoździu, z którego zwisał klucz. Zdejmując go pomyślał, że jednak cała robota nie była tak straszna. Ostatnio było gorzej...

Kiedy zamykał kłódkę, na schodach rozległ się głuchy stukot i nagle wszystko zaczęło po sobie następować w błyskawicznym tempie. Jego tupot zmieszał się z okrzykami i tupotem innych. W oknach momentalnie zapalały się światła. Gdzieś zaczął wściekle ujażdżać pies. Był tylko dobiec do ogrodu. Już, już wspiął się wpół, gdy czyjeś ręce uchwyciły go za nogi. Nawet się nie bronił. Wszystko to wirowało mu jeszcze w oczach, kiedy przed wysoką sylwetką milicjanta składał zeznania.

Z całej historii Jasiek zapamiętał sobie dwóch czarnych panów siedzących za obitym w zielone sukno stołem, a w uszach dzwierał mu jeszcze wyrok: ...rok w zakładzie wychowawczym...

Wszystkiemu winien był znowu Jasiek. W ogóle od dnia kiedy dyrektor Państwowego Młodzieżowego Zakładu Wychowawczego w Owinskich oddał go w ręce wychowawcy Wilczka, a ten z kolei przedstawił go wychowankom — coś zaczęło psuć się w zakładzie. To zespół wychowanków, przeznaczony do wykończenia świetlicy, nie stanął w porę do pracy, to znowu nowożytny chór zaczął się „rozpadać”. Były nawet wypadki pojedynczych ucieczek z zakładu, nieprzychodzenia na lekcje. Załamywała się dyscyplina. A we wszystkich tych sprawach brał udział Jasiek. Rada Wychowanków nie mogła naprawić stosunków. Był to jakby bunt, którego spinstus movens stanowią Jasiek. Nie w smak mu była ich organizacja wewnątrzzakładowa, spoczywająca w rękach kolektywu.

— Też mi kolektyw... — mruczał. Kiedy chłopcy „pożyczili” sobie ostatnio ze stołówek parę talerzy zaraz musieli ich „na-

kryć”. I kto w tym maczał palce — wiadomo Rada... Znalazł także innych malconów.

Pewnego popołudnia zawezwał no wszystkich chłopców do magazynu. Przyszedł transport butów. Żółtych, wojskowych butów. Wydarzenie oczywiście nie codzienne. Jasiek, noszący pachnące świeżo garbowaną skórą obuwanie, wszedł zamyślony do świetlicy. W progę zatrzymał się. Oczywiście — Podlaski, Małkowski, Morągiewicz. Czyżby znowu coś weszło? Najbardziej z nich nie lubiał chyba Jurka Podlaskiego. No, bo Jurka podziwiano za pracę w zespole sportowym „Obra”. A znowu Małkowski był jednym z najzdolniejszych uczniów w warsztacie modelarstwa lotniczego.

— Lizusy — syknął przez zęby obróciwszy się na pięcie ku drzwiom.



Rys. H. Derwich

Wieczorem, kiedy już zasypiano, Jasiek długo wiercił się w łóżku. Nierówny szmer oddechów wypełniał sypialnię. Plan był bardzo prosty, ale jakoś trudno było się zdecydować. Celowo nie szukał dziś Globusa i Rudego. To musi załatwić sam. Cichutko uniósł się na łokciach. W świetle spoglądającego zza okna księżycy ujrzał ustawione przed łóżkami buty. Chrapanie stawało się donośniejsze. Siedząc rzucił w bok ściszone: haloo... Nic. Cisza — przerywana monotonnym poświstywaniem.

Przerzucił nogi dotykając chropowatych desek nowo założonej podłogi. Łóżko Filipiaka stało naprzeciw, po prawej stronie. Przez chwilę namyślał się jeszcze siedząc ze spuszczonej stopami. Filipiak był bardzo spokojnym i uczynnym chłopcem. Nie wiadomo co go przyniosło do zakładu. Czuł, że to co ma zrobić, będzie grubo nie w porządku wobec Filipiaka. Ten „Mizerak” nie mu przecież nie zrobił. Ale po co „lizus” łaził do tej zabawy? Nienawidził do wszystkich, którzy pomagali Radzie i „staremu” poderwała go. Aż zdziwił się, jak to przedkładał Bosomy stopami przez mierzyl w mig odległość od łóżka Mizeraka i już trzymał w kurczowym uścisku parę jego nowiutkich butów. Zimne oblicze księżycy wyjrzało nagle zza szyby. Czuł się jak złodziej złapan na gorącym uczynku. Prędko wsunął swój łup pod wóchaty koc, ale już za chwilę wciągnął spodnie. Buty musi przecież ukryć. Od budynku przebiegł jakieś 40 kroków po czym znikł w ruinach czerwonego domku, na wpół zawalonego cegłami. Tu kiedyś powstała wieża świetlica. Z wiosną przystąpiła do pracy ekipa z zespołu murarzy. Ale do wiosny jest czas. Pod stołem cegielni łatwo ukryć zdobycz.

Monotonny szmer oddechów uspokoił go, kiedy na powrót kładł się do łóżka. Zasypiając ważył w myślach cenę łupu.

— He he he — śmiał się Kli- mek — cuda, jak Boga Kocham — cuda...

Będzie chyba z 200 złotych... Przyda się.

Rankiem pękła bomba. Filipiak z placem stwierdził, że nie ma butów. Jaskowi serce tłukło się niespokojnie. Zaglądał pod łóżko, do szafki — przepadły. Przy ranym apelu był obecny dyrektor. Do szeregu w ostatniej chwili dobiegł zapłakany Filipiak, który remu wydano z magazynu jego stare, koślawe buciska. Wyglądał w nich fatalnie.

Dyrektor mówił krótko. Do wieczora buty mają się znaleźć. Przechodząc wzdłuż dwuszerowego starał się patrzeć każdemu w oczy. Jaskowi zrobiło się nieprzyjemnie ciepło. Serce zabiło szybciej, jak przy ostatniej „robocie”.

W warsztacie dzień był gorący.

— Patrzcie ino, chytrus bo chytrus, ale Mizerak za to be-

— Co mi za chytrus — Kli- mek wzdygnął ramionami — kolega zrobił „na szaro” i tyle... Chłopcy kiwali głowami. „Buchać” komuś pasek, jakiś drobny przedmiot — to co innego, ale buty i to w dodatku Mizerakowi... W stołówce Jasiek starał się odszukać Globusa i Rudego, ale ci jakby go unikali. — Tchórze — pomyślał i ironicznie wydmuchnął.

Wreszcie nadszedł apel wieczorny. Oczywiście — buty się nie znalazły. Mizerak stał zrozpaczony ze łzami w szarych oczach. Mały palec prawej nogi wyłaził mu nieśmiało na światło dzienne. Wilczek odebrał raport, ale zamiast dać hasło do rozejścia się, tkwił uparcie w miejscu. Jeszcze raz powiódł wzrokiem po kanciastych głowach. Jaskowi zdawało się, że wzrok wychowawcy dłuższy zatrzymał się na nim. Znowu to głupie uczucie. Wreszcie dwuszerog rozpadał się. Chłopcy grupkami wchodziłi do sypialni. Wypadek kradzieży poruszany był teraz przez wszystkich.

Rankiem następnego dnia zawiązało. Buty się znalazły. Jasiek obudzony hałasem przecierał oczy nie wierząc własne mu wzrokowi. Na środku izby stał Filipiak z rozdziawioną gębą i śmiał się do wszystkich potrzaskując przed nosami chłopaków parę żółtych butów. Podchodząc do niego, a on nie wiadomo, który raz opowiadał jak to budząc się ujrzał przed łóżkiem buty.

Jasiek zbierał. Albo ktoś mi spłatał figla — albo z Mizeraka zażartowano — pomyślał. — He he he — śmiał się Kli- mek — cuda, jak Boga Kocham — cuda... Nazajutrz apel odbył się normalnym trybem. Na zbiorce obecny był również Globus. Kiedy gromada kierowała się w stronę stołówek, ktoś pociągnął Jaska za rękaw. Wilczek. W pierwszej chwili Jasiek chciał dać drapakę, ale zatrzymał go życzliwy uśmiech wychowawcy.

— Sluchajcie, rozmawiałem wczoraj z Podlaskim. Możecie, kuleje tam nieco pracować, kuleje jakby od niechcenia. Jasiek spojrzął na Wilczka z niemym podziwem. Skwapliwie pochwylił wyciągniętą, żółtą dłoń człowieka.

W Sali Odrodzenia

W Ratuszu ławy w drzewie rzeźbione dla panów rajców puste zostały.

Księżyc wyszukał oczy zielone lamparcie w siatce zmyślnej powały

i patrzy przez nie na całą salę. Może panowie rajcy za drzwiami?

Może nie przyjdą już tutaj wcale? Księżyc po schodach zszedł na zwiady.

LIGNOFOL zamiast brzozy został zastosowany do wyrobu panelek w łóżykach maszyn przedziałniczych. Wyrabiany jest z cienkich kłuszek brzozy, przesyconych formaldehydem lub krezoloformaldehydem smolami, stłaczanymi następnie przy odpowiednio wysokiej temperaturze. Lignofol jest znacznie tańszy od brzozy i posiada wysokie własności antybakteryjne. Paneleki wykonywane z tego materiału mogą być smarowane wodą, a w pewnych warunkach nawet wcale nie smarowane.

Po wykonaniu panelek z lignofolu zanurza się je w wodzie na 24 godziny. W tym czasie zawartość w niej wody powinna wzrosnąć do 5 proc. Warunek ten odnosi się wyłącznie do maszyn przedziałniczych z mokrym przedzieleniem, gdzie paneleki tego rodzaju mogą pracować bez smarowania. Długotrwałość panelek wykonanych z lignofolu

TECHNICE

Jest nie mniejsza niż wykonanych z brzozy.

W BUDOWNICTWIE stosuje się obecnie coraz częściej ochronne powlekanie podłóg. Chodzi tu o ochronę podłóg przed pochłanianiem wilgoci i o ułatwienie ich pielęgnacji.

Początkowo stosowano tę metodę tylko do podłóg parkietowych, które ulegają łatwo za brudzeniu i wymagają częstszego czyszczenia i wzmoczonej pielęgnacji. Stosowana obecnie osłona podłóg nie stwarza na nich błyszczącej, lakierowanej powierzchni i nie zmieniając naturalnego wyglądu podłogi chroni ją przed wchłanianiem brudu i wilgoci.

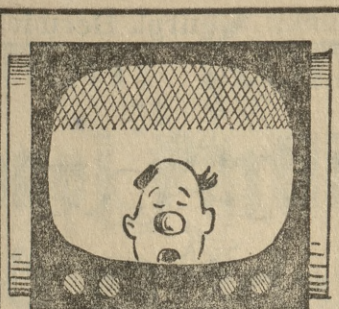
Opracowano do tego celu wiele preparatów opartych na podłożu sztucznej żywicy. Po

zastosowaniu jednego z tych środków można śmiało wyliczyć, że wytarciu go nie pozostanie na parkiecie nawet ślad plamy.

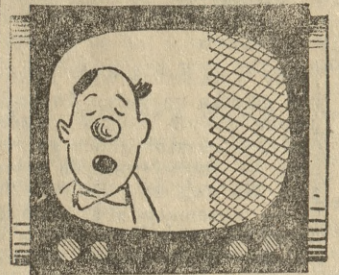
W STALOWNI HUTY im. LENINA po raz pierwszy w hutnictwie polskim zainstalowano tzw. kotły - utylizatory.

Kotły, z których każdy wytwarza około 35 ton pary na godzinę, pobierają ciepło do ogrzewania wody z nie wykorzystanych do tychczas spalin z pieców martenowskich. Spaliny te, posiadające dość wysoką temperaturę (kilkaset stopni C), stanowią nowe źródło energii. Kotły dawać będą parę do rozpedzenia turbiny w zakładzie koksowniczym oraz do niektórych urządzeń w pompowni. Natomiast para wytworzona na przez silownię hutniczą będzie używana tylko przez turbiny generatorów i turbodmuchały wielkich pieców.

Inż. Jan Młotkowski



Obraz „rozcentryowany” pionowo (wzdłuż wysokości ramki).



Obraz „rozcentryowany” poziomo (wzdłuż długości ramki).



Obraz rozciągnięty w szerokość („pogrubiony”).

Dr Włodzimierz Krzyżaniak

„ABC” telewizji (III)

W dwóch poprzednich artykułach („Świat” nr 36 i 38) — przedstawiono w skrócie zasady nadawania obrazów przez stację telewizyjną oraz przejmowania ich przez telewizor. Obecnie na zakończenie wypadła przedstawić w zarysie obsługę telewizora. Nie pozostając na zapoznaniu Czytelnika ze zjawiskową stroną wynalazku i technicznymi jego rozwiązaniami, autor przywiązuje jeszcze większą wagę do wyjaśnienia, jak odnośnie zjawiska możemy kontrolować w znaczeniu wpływu na ich przebieg. Chodzi po prostu w danym przypadku o to, by pochłonięty obsługa telewizora jego szczęśliwy, a technicznie niezorientowany posiadacz nie ograniczał się do umiędzynarodowienia czy innego pokręta telewizora, ale by miał wyraźną fizyczną interpretację tego, co dzieje się dzięki jego manipulacji się dzieje. Dopiero tak pojęta „politechniczka” jest bowiem dla umysłu kształcząca.

pują one po chwili same. Tak więc nie trzeba się zbytnio spieszyć z manewrowaniem pokrętłami. To jedno. Po wtóre, powstałe zakłócenie usuwać trzeba pedantycznie odpowiednim pokrętkiem, a więc rola ich wszystkich musi być obsługująca cemu doskonale znana.

OBSŁUGA CZĘSTOTLIWOŚCI RAMKI

Oto na ekranie pojawiła się już sympatyczna twarz spikerki, a dźwięk odbioru, realizowany niezależnie na zasadach radiofonii, jest idealny. Zagłębiamy się wygodnie w fotelu, gdy nagle obraz zaczyna „uciekać” do góry lub na dół. Jakaż tego przyczyna? Wyjaśniono już poprzednio, że promień liniujący w kamerze nadawczej i w telewizorze musi biec synchronicznie. Przypuśćmy, że „ramka” telewizyjna liczy 625 linii, liniowanych tym promieniem od lewego górnego rogu, linia po linii. Wtedy po przebiegnięciu ramki do jej prawego dolnego rogu musi promień powrócić do lewego górnego rogu dla liniowania ramki następnej. Przy ruchu powrotnym ekran oczywiście „gaśnie” na ułamek sekundy, by nie „rozmyć” nadanej ramki. Stacja nadawcza nadaje w tym celu automatyczny sygnał synchronizacyjny „czerni”. Ale oto liniujący promień elektronów w naszym telewizorze spóźnia się np. przez czas trwania 1 linii. Chce więc zainicjować dodatkową, nie istniejącą 626 ostatnią linię, na którą padnie wygaszona linia sygnału czerni ze stacji nadawczej.

** Amerykańska telewizja po ku pieku świadomie zniekształca atrakcyjny program, trzeba „wykupić się” — wpuścić do telewizora... kilku centów!

Ramka jest więc obcięta od dołu już o 1 linię, obraz zaczyna uciekać do góry. Spóźniony o 1 linię promień zaczyna od lewego górnego rogu liniować drugą kolejną ramkę, i spóźniając się znów tak samo, poszerzy dolną obciętą część obrazu już do 2 linii itd. Wskutek bardzo szybkich liniowań ramki (kilkadziesiąt ramek na sekundę) bezwładność naszego oka wywoła wrażenie płynnego ubywania obrazu od dołu. Powiemy, że obraz „płygnie”, uciekając do góry.

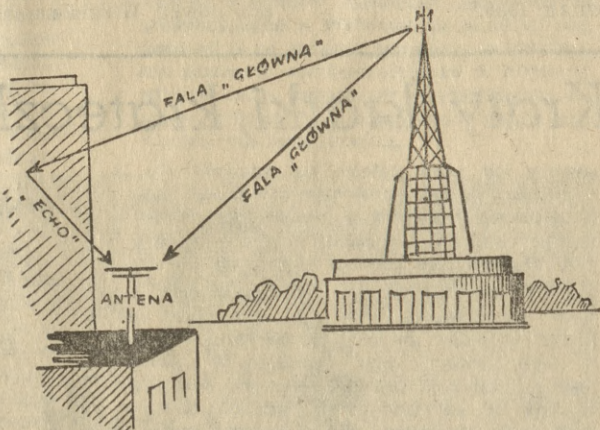
Czytelnik niech tu sam objaśni sobie teraz podobne zja-

trwałe rozcentrowany. Dwa pokręta: „centrowanie ramki” i „centrowanie linii” przywołują elektronowego „ogniomistrza” do położenia elektronowego ostrzału na właściwej rozpiętości ekranu.

Uporaliśmy się już z uciekaniem obrazu w górę lub w dół (pokrętem częstotliwości ramki), uciekaniem go w prawo lub lewo (pokrętem częstotliwości linii), jak i utrzymującym się trwale rozcentrowaniem obrazu (pokrętłami centrowania pionowego ramki i centrowania poziomego linii). Zdaje się nam, że po manipulacji z tymi 4 pokrętkami z niespodziankami przy odbiorze już koniec. Bynajmniej!

REGULACJA OGNISKOWANIA I JASNOŚCI

Oto wdzięczna fizjognomia naszej spikerki „rozmywa się” na ekranie, jak na niezbyt ostrej fotografii. Cóż się stało? Obliczmy! Ekran musi zmieścić np. 625 linii. Jeżeli wysokość ekranu jest 50 cm (co na razie jest dla nas tylko „pobożnym” życzeniem), to na 1 linię przypada 50 cm (czyli 500 mm): $625 = 0,8 \text{ mm}$.



Szkodliwe działanie „echa” fal elektromagnetycznych

wisko płynnego „uciekania” obrazu ku dołowi ekranu! Temu płynięciu obrazu towarzyszy jeszcze inna przykra wada. Oto cały ekran pocięty jest pochyłymi jasnymi liniami. To znowu przyczyna ta sama, tylko powodująca inny jeszcze skutek. Spóźniający się promień liniujący znaczący na ekranie narastające liniami miejsca uderzenia fluoryzującego ekranu.

Usunięcie obu wad: użycie pokręta „częstotliwość ramki”. Manewrując nim powoli zlikwidujemy „uciekanie” obrazu do góry lub na dół.

OBSŁUGA CZĘSTOTLIWOŚCI LINII

Promień liniujący w telewizorze musi od stacji nadawczej otrzymywać nie tylko sygnał: „koniec ramki” ale i sygnał: „koniec linii”. Musi przy tym respektować i ten sygnał, bo inaczej niweczy się synchronizacja współbieżność w kierunku poziomym, od lewej ku prawej. Po sygnale czerni, oznajmującym telewizorowi: „koniec linii” promień elektronowy winien natychmiast powrócić na lewo (jak przy końcu ramki — do góry). Ale oto w naszym telewizorze promień elektronowy... przegapił sygnał: „koniec linii” i usiłuje liniować dalej w prawo. Oczywiście na prawym końcu linii nałoży się sygnał czerni i ekran tam wygaśnie, obraz zostanie obcięty z prawej. Przy linii następnej rzecz się powtórzy. Obcięcie jeszcze się poszerzy i obraz płynnym ruchem zaczyna „uciekać” w lewo. I tu znowu zadajemy Czytelnikowi pytanie, jak samodzielnie objaśnić „uciekanie” od razu w prawo? Tym wadom towarzyszy pojawienie się irytujących garbowanych pasów.

Usunięcie wad: użycie pokręta „częstotliwość linii” ale znowu bez zbytniego pośpiechu.

CENTROWANIE

Promień elektronowy może z pewnych przyczyn niecelnie ostrzeliwać nasz fluoryzujący ekran, „przenosi”, jak mówią artylerzyści, nie licząc się ani z wysokością ekranu (wysokością ramki) ani z jego szerokością (długością linii). Obraz nie ucieka już wprawdzie płynnym ruchem, ale co jest najmniej irytujące, jest

Każdy mniej lub więcej świecący składowy punkt obrazu nie może przekraczać tej szerokości, bo inaczej nałoży się na sąsiednie i zepsuje ostrość. Fizyczna interpretacja takiego defektu jest nader znowu prosta: oto liniujący promień elektronowy, którego uderzenia we fluoryzujący ekran powodują jego rozbiśnięcie, ostrzeliwuje ekran z niepożądanym „rozrzutem”, jakby znowu powieźli artylerzyści, a nawet chłopcy obserwujący ślady swych pocisków na tarczy. Trzeba zwięźle promień elektronów, czyli zogniskować go. Obsługa telewizora sięga ku „pokrętu ogniskowania” i ślady elektronowego ostrzału nie przenoszą swym „rozrzutem” kółka o średnicy 0,8 mm, obraz odzyskuje potrzebną ostrość. Inne pokręta pozwalają regulować jasność i kontrast***).

INNE PRZESZKODY

Cóż jeszcze może nam uprzykrzyć odbiór? „Chudnięcie” lub „grubienie” przedmiotów na obrazie lub choćby pracująca w pobliżu... „krótkofalówka” LPZ. Pionowe „wywijasy” na ekranie to dowód jej działania. Tu pokręto już nie zaradzi: pozostaje tylko miłych krótkofalowców... zwabić przed ekran, by zaniechali swych zakłócających sygnałów. W ogóle wszelkie czynne urządzenia elektryczne (rentgen, silniki elektryczne) w zbyt bliskim sąsiedztwie psują na ogół odbiór.

Staranna obsługa to także sprawa dobrej anteny, właściwego jej położenia, a nawet wyboru miejsca w pokoju dla ustawienia telewizora. Antena zewnętrzna jest lepsza, przy czym instalując ją próbujemy najlepsze położenie. Jest to bardzo ważne, bo chodzi o wykluczenie odbierania przez nią fal ze stacji nadawczej, odbitych już od ścian budynków. Takie „echa” elektromagnetyczne potrafią po kilkakroć „powtórzyć” obraz, tak że zobaczymy go naraz kilkakrotnie, rozsunięty względem siebie. Wobec ogromnej prędkości tych fal (300 tysięcy km/sek.) „echo” ich odbicie nadchodzące po fali „głównej”, uwiadamia się łatwo na ekranie.

***) Gdy promień elektronowy zwalnia lub przyspiesza biegnąc wzdłuż linii.

Śladami rejsu „Kon-Tiki” ale... w drugą stronę

W oparciu o nader odważną teorię etnograficzną pięciu Francuzów postanowiło ostatnio przepłynąć na tratwie przez Ocean Spokojny. Jako punkt wyjściowy obrał sobie Erik de Bishopp, uczonego i żeglarza w jednej osobie wraz ze swymi czterema towarzyszami — wyspę Tahiti, skąd dadzą się znośić prądom morskimi na trasie długości 7.000 km. Zamierzają oni

udowodnić, że ludy polinezyjskie dotarły do Południowej Ameryki, płynąc na tratwach tą samą drogą; tratwa Bishoppa zbudowana została z bambusa i pozabawiona będzie normalnego steru... W razie po wodenia pierwszego rejsu francuscy navigatorzy przepłyną trasę w kierunku odwrotnym, chcą dać świadectwo tezie, że Polinezyjcy cy powrócili tym samym szlakiem do swych wysp.

Teoria reprezentowana przez Bishoppa jest wręcz odmienna od teorii głoszonej przez specjalistę w tym zakresie, słynnego Norwega M. Thor Heyerdahla, który przed kilkoma laty odbył słynny rejs „Kon-Tiki” na tratwie, obierając wówczas kurs odwrotny: od Południowej Ameryki do wysp polinezyjskich.

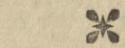
M. Thor Heyerdahl, gdy dowiedział się o projekcie Bishoppa oświadczył, że według jego zdania, planowany rejs posiada dużo więcej znamion sportowych, aniżeli jego własny. Ekspedycja francuska, żeglując na prądach morskich, zniszczona zostanie w regionie polarnym Antarktydy, gdzie panują gwałtowne sztormy. Z punktu widzenia naukowego natomiast — sądzi Heyerdahl — podróż Bishoppa nie ma żadnego szczególnego znaczenia. Jest bowiem niewątpliwie, że Polinezyjcy mieli do dyspozycji tratwy znacznie mniej zabezpieczone przed mrozami i w żadnym wypadku nie przetrzymałyby podczas rejsu przeciwnych warunków klimatycznych, które utrzymują się poniżej czterdziestego równoleżnika.

Ekspedycja francuska zamierzała podjąć swą niebezpieczną wyprawę w końcu października br.

M. J.

W salonie ZPAP

Franciszek Pacholski: Pejzaż (kredka).



Przechodniu — to takie łatwe i proste: wejdź i zobacz prace młodych poznańskich

artystów-plastyków, którzy wystawili szereg interesujących rysunków. Już pierw-



Adam Bonowski: Rogalin (linoryt).

szy pobieżny przegląd wystawy w salonie ZPAP (Plac Wolności 4) pozwala stwierdzić, że obaj plastycy żyją swym środowiskiem, żyją Poznaniem, który jest tematem najczęstszym w ich twórczych artystycznych, aczkolwiek — „wysoko” na Wybrzeże i Gdańsk jest w dwóch czy trzech pracach przedmiotem rysunków. Ale i akt, i portret różnicują tę ekspozycję.

Dlatego każdemu miłośnikowi sztuki można polecić zwiedzenie wystawy Adama Bonowskiego i Franciszki Pacholskiej.

Rysunki młodych artystów mają wszelkie prawo „zabłędzenia” na ściany naszych mieszkań. (t. h. n.)

Nowości, nowości...

(Ciąg dalszy ze str. 1)

mujaćmi również jego życie: latami przed pierwszą wojną światową, dwudziestolecie i współczesnością. Książka ta przypomina wiele najlepszych utworów Iwaszkiewicza (choćby *Panny z Wilka*, czy *Nową miłość*). Niemniej jest w niej wiele niedomówień i niedopiętych kompozycyjnych, wynikających może i stąd, że zapoznaliśmy się dopiero z pierwszą częścią obliczonej na kilka tomów całości.

Książkę nawiązującą w pewnym sensie do całokształtu swojej twórczości opublikował również Adolf Rudnicki. Znany wszystkim *Niebieskie kartki* z cotygodniowego odcinka w „Świecie”. W tych niewielkich fragmentach prozy, przypominających czasem felieton, czasem recenzję lub esej, a nierzadko na wet ułamek opowiadania, Rudnicki mówi o sprawach najistotniejszych i najboleśniejszych dla niego: o problemach własnej twórczości, zagadnieniach moralnych, literackich, kulturalnych. Ów tom w szarej okładce jest właściwie niczym innym, jak literackim portretem jednego z naszych największych prozaików średniego pokolenia twórców i wymaga umieszczenia w bibliotekach tych wszystkich, którzy zbierają literackie dokumenty naszego czasu.

I jeszcze o jednej książce, wydanej w ostatnich miesiącach, trzeba wspomnieć: o *Myślach o sprawach i ludziach* Marii Dąbrowskiej. Znakomita autorka *Noce i dni* mówi w tym niewielkim tomiku w niebieskiej okładce o ludziach i zdarzeniach zapisanych złotymi złotkami w historii polskiej literatury i kultury, a także o dorobku myślowym całego świata. Niewielkie te eseje, recenzje i artykuły odznaczają się niezwykłą prostotą i jasnością wykładu, przekonującą empiryzmem, a przede wszystkim nader serdecznym stosunkiem do analizowanego tematu. Wszystkim, którzy sądzą, że już nie ciekawego nie można powiedzieć o Mikołaju Gogolu, Bolesławie Prusie, o literaturze i czytelnikach — polecam gorąco najnowszą książkę Marii Dąbrowskiej...

Zatrzymałem się w tym felietonie celowo na książkach najgłośniejszych i najbardziej wartościowych w dorobku naszych wydawnictw z ostatnich miesięcy — dlatego wyliczyłem z moich rozważań szereg pozycji ciekawych i godnych przeczytania i to nie jeden raz. Myślę jednak, że za jakiś czas będę mógł znowu spełnić wobec Was, drodzy Czytelnicy, najprzyjemniejszy z obowiązków krytyka: zachęcić do zapoznania się z książkami pięknymi i ciekawymi...

Jan STEFAŃSKI

Dyplomata ptasiego światka



Na polnej drodze
siedziały szare wróble
nad ziarnem rozsypanym.

I dziobały.

Zobaczyła to wrona,
jak wróble się cieszą
dziurawego worka darem.

Sfrunęła i do wróbli rzekła:
Jesteśmy przecież równi,
a więc czy wrona
jest gorsza od wróbli?

I poczęła dziobać.

Jedną wadę miała
wrona w swej idei,
bo jeśli o dzioby chodzi,
to większy był ten jej.

Poznań 1956.

Tekst: Włodzisław Scisłowski

Rysunki: Henryk Derwich

REPORTAŻ Z PODRÓŻY

Byłem w Pimpalonii

A więc jestem w Pimpalonii! Do przedziału wszedł czystutki, uśmiechnięty i bardzo uprzejmy pimpaloński celnik, poklepał parę razy bagażę, poczęstował nas pimpalońskimi papierosami i przeproszał nas za wszystko — odszedł. Pociąg ruszył w dalszą drogę, a mnie poczęły przychodzić do głowy różne nieprzyjemne porównania.

Ale oto mijamy wieś pimpalońską. Domy zbudowane przez

stuch pimpaloński, ubrany w jasną pikardynę, śledził na ekranie telewizora ruchy stada liczącego ok. 345 sztuk. Jak poinformował mnie siedzący koło mnie Pimpalończyk — dojenie odbywa się przy pomocy zespołu mózgow elektronicznych, zdalnie kierowanych.

Po jakimś czasie dojeżdżamy do Pimpalonu. Po obu stronach pociągu wystają stopniowo domki, zrazu rozrzucone, potem bardziej zagęszczone, by w końcu



ważnie z kitofiksu, rzadziej z fiknofolu, stodoły na ogół z kompresyjnym obiegiem powietrza. Krowy zaopatrzone w krótkofalówki. Widziałem jak pa-

cu przejść w zwartą, wielkomięską zabudowę. Koło domków — ogródki. Pociąg powoli wtacza się na perony pimpalońskiego dworca. Nie słychać tak powszedniego u nas gwaru i hałasu. Pimpalończycy wysiadają cicho i niemal bezszelestnie posuwają się w stronę fotelnych elektrycznych budek kontrolnych.

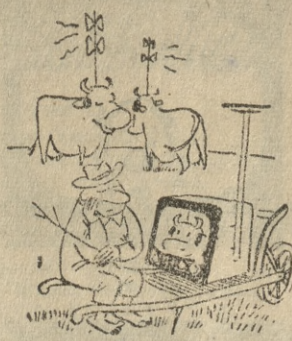
Wsiadłem w seledynową taksówkę i kazałem zawieźć się do hotelu. Ulice pokryte specjalną masą plastikową tłumia wszelkie głośniejsze zaburzenia akustyczne. Dużo samochodów, same najnowsze modele z hydrauliczno-pikoliczną regulacją biegów, tramwaje, rowery, motocykle no i oczywiście skutery. Na każdym balkonie stoi skuter przykryty plastikową plandeką. Pimpalończycy posuwają się prawą stroną chodników, wymijają przechodniów z lewej strony, wchodząc do sklepów, do komfortowo urządzonej szaleczki, do kin, lokali i domów towarowych. Wychodzą obladowani różnego rodzaju paczkami i bezzwłocznie udają się do domu. Pijanych nie widać w ogóle. Jeden jedyny jakiego potem widziałem, okazał się pracownikiem polskiej ambasady.

Napotkanego przypadkowo konduktora bimbabusa (rodzaj szybkiego autobusu) zapytałem uprzejmie o siatkę plac i pułap cennika. Spojrzał na mnie nieprzytomnie, ale zobaczywszy w mojej kieszeni „Przekrój”, udzielił mi dość wyczerpujących informacji. Pimpalończyk zarabia średnio 2500 pimpalów miesięcznie. Z tego 100 do 300 pimpalów przeznaczają na mieszkanie, resztę na jedzenie, picie i ubiór. Bilet tramwajowy kosztuje np. 10 pimpalów, trolejbusowy 15. Niestety nie mogłem się dowiedzieć równowartości pimpala i złotego a moi przyjaciele z ambasady poradzi mi, abym się lepiej nie dowiadywał. Nie rozumiem dlaczego.

Po zwiedzeniu Pimpalonu udaliśmy się w podróż po kraju. Na pierwszy ogień Firliplion — dawna stolica Pimpalonii. Szosą wijącą się wśród zielonych wzgórz i brązowych pól uprawnych pedzimy „setką” przed siebie. Szofer jowialny, w średnim wieku Pimpalończyk z okolic Minefisu (miasto na południu Pimpalonii) udzielał nam wyczerpujących wskazówek o mijanych okolicach.

— Las sosnowy — powiedział z dumą w głosie, a my łapczywie wpatrywaliśmy się w autentyczny, pimpaloński stwór drzew. Zatrzymaliśmy wóz i na tyle dużej grupy sosen zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcie.

Następnie mijaliśmy wiatrak, stawy, mostki, czystutki,

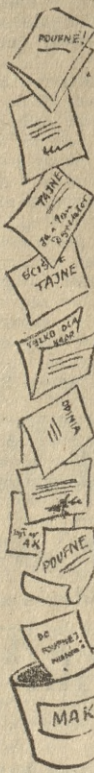


jakby wymiecione wsie, kościoły i polećka uprawne. Zwracaliśmy uwagę wielkie rosnące na specjalnych rusztowaniach garmolany — rodzaj naszych arbutów. Na szosie — co 100-200 m — automaty z grochówką, gumą do żucia i zrazami à la Nelson. Usiłowałem wrzucić guzik, specjalnie w tym celu zabrane z kraju — ale nie z tego.

Jesteśmy wreszcie w Firliplionie! Patrzę ze wzruszeniem na olbrzymie zamczysko, pokryte czerwonym winem i patyną wieków. Tu mieszkał Pimpalończyk I — jak wiadomo założyciel Pimpalonii i pierwszy władca tego kraju. Obdarowani różnego rodzaju pamiątkami, parówkami à la Pimpek i cudowną wodą ze źródła Paramur, syty wróżem odjeżdżamy do Pimpalonu, skąd już ekspressem udajemy się w stronę kraju. Żegnaj cudna Pimpalono, kraju pamiątek i parówek!

PS. Cały mój mir i podziw dla celników pimpalońskich znika, niestety, przy opuszczaniu tego pięknego skądinąd kraju. Zarekwirowano mi 34 pary nylonów, 12 kompletów do golania, parę zegarków i kilkanaście piór wiecznych. Nie pomogli tłumaczenia, że są to przedmioty pamiątkowe i szczególnie wartościowe. Popraw się, Pimpalono!!

WITUS SPRATY pe-rysonalne



Mam cztery ciotki w Kalifornii — każda co tydzień paczkę śle. A wujek grywa na waltorni. — I co pan na to, panie P.?

W trzy niestym szóstym — brat bratowej, z samym Składkowskim zalał się. A stryjek sprzedał dzisiaj krowę. — I co pan na to, panie P.?

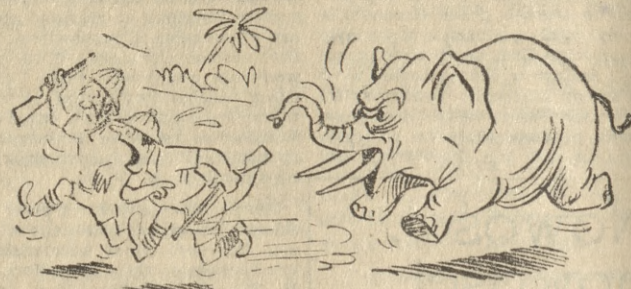
Zięć mej znajomej jest kulakiem — pół wieprza co dzień sobie je. A Włodzio fajnym jest chłopakiem. — I co pan na to, panie P.?

Jak umarł Stalin — płem tydzień — nawet przymknęli za to mnie. A wczoraj byłem na „Aidzie” — I co pan na to, panie P.?

Brat mego dziadka jest w Ostendzie, ma „Cadillaca” — itede... A ja się pytam, co to będzie? — I co pan na to, panie P.?

Opinię przeczytałem o mnie — pan ją wystawiał — to się wie! A Nowak umarł bezpotomnie. — I co pan na to, panie P.?

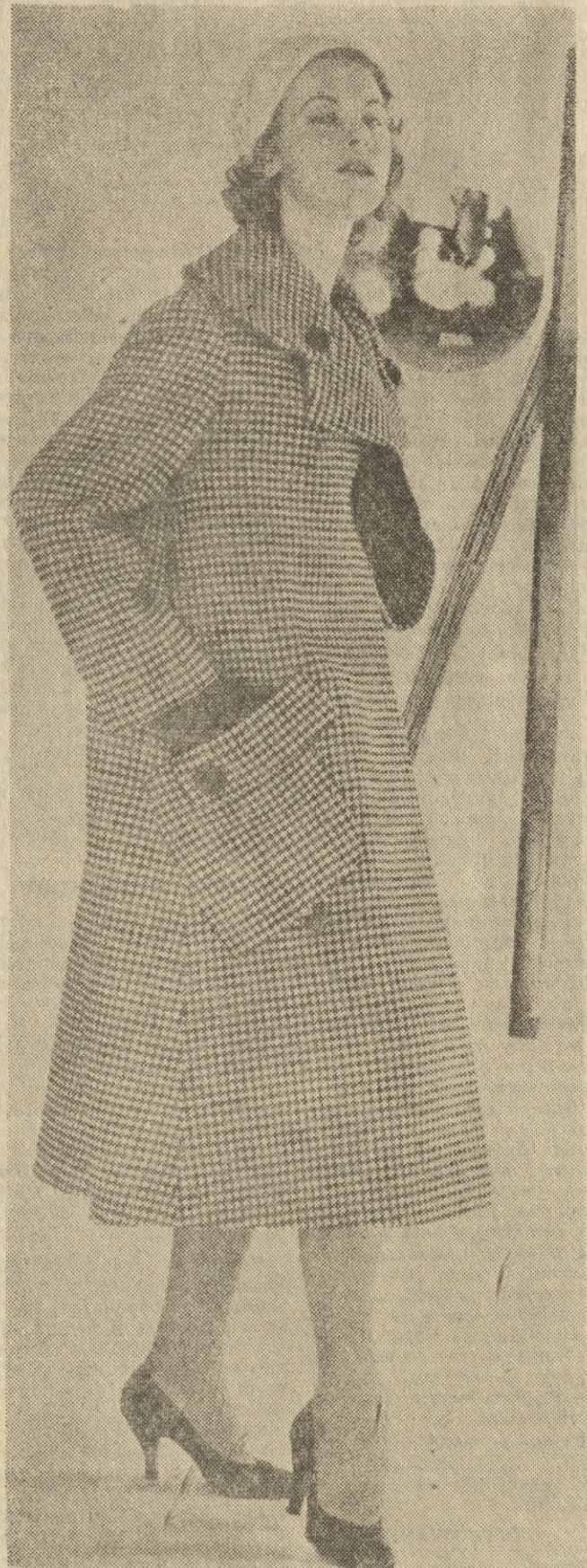
Prababkę mam na Gwadelupie — biedaczkę co dzień moskit tnie. A pana miałem zawsze w nosie. — I co pan na to, panie P.???



— Całe szczęście, że słonie nie lubią mięsa!

wg „Panorama-Holland”

Kraty, kratki, krateczki



Tegoroczna moda jesienna uprzywilejowała kratę. Spotyka się (i spotykać się będzie zapewne także wiosną) zwłascza sukienki, kostiumy i palta z pepitki. Dzisiejszy nasz model to obszerne palto z grubej biało-czarnej wełny, na chłodne dni. Duży okrągły kołnierz, połączony z kłopotliwym czarnym aksaminowym guzikiem. Ukośnie kieszenie, zakończone asymetryczną patką, zapiętą na taki sam guzik.



Trubadur w spódnicy

FERMETY SAMODZIELNY ORGAN MIKA

Nr 1.

Do Czytelników!

W okresie postępującej decentralizacji życia, kiedy we Wrocławiu, Poznaniu, Słupcy i Witaszycach powstają pisma kulturalne, w okresie, gdy Bogdan Danowicz tworzy własny teatr, a niektórzy dziennikarze zaczynają w artykułach odzwierciedlać własne poglądy — jest miejsce i czas na tworzenie indywidualnych organów prasowych. Wykorzystując znajomości w kolegium „Głosu” i w stołowie RSW „Prasa”, udało mi się po długich, parugodzinnych staraniach uzyskać zgodę na wydawanie własnego pisma.

Oddając do ręki Czytelników pierwszy jego numer, jestem przekonany, że wypełni ono dotkliwą lukę, jaką ludzkość odczuwała, zanim wpadłem na ten genialny (nienowity zresztą) pomysł. W tej sprawie napłynęło też kilkanaście rezolucji od szerokiego grona satyromanów, domagających się powołania do życia mojego organu, jak i wprowadzenie bezpłatnej nauki języka PIKTO w przedszkolach koedukacyjnych.

Zadaniem tym, przynajmniej w części, staje się dziś zadość. Licząc na współpracę ze strony Czytelników, redakcja wyraża głębokie przekonanie, że bez „ego ani rusz. A zadania, jakie przed nami stoją, są ogromne o ile nie wręcz olbrzymie. Pismo nasze (z plastyczną pomocą H. Derwicha) postawiło sobie za cel przyspieszenie procesu pełnej demokratyzacji satyry i decentralizacji śmiechu. Czy nam się to uda? Ewentualne odpowiedzi, na to pytanie, kierować pod adresem redakcji, Grunwaldzka 19, pok. 10.

REDAKTOR NACZELNY „FERMETÓW”

Poznań, w listopadzie 1956 r.



WOBEC PROTESTÓW...

...iż prasa nasza za mało interesuje się sprawami męczących, postanowiliśmy od czasu do czasu publikować zdjęcia z dziedziny najnowszej mody męskiej.

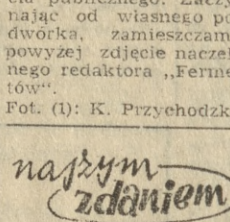
Model 1: Strój tramwajowy. Konopny pasek uniemożliwia uszkodzenie marynarki w tłoku.

Model 2: Strój kinowy. Luźna marynarka, wygodna do zjeżdżania w kinie „Warta”. Wielecna czapeczka dodaje twarzy inteligencji. Spodnie bez paska, niekrepujące, nadają się również do prasowania.



Pismo nasze, niezależnie od innych celów, będzie konsekwentnie walczyć o jawność życia publicznego. Zaczynając od własnego podwórka, zamieszczamy powyżej zdjęcie naczelnego redaktora „Fermetów”.

Fot. (l): K. Przechodźki



...w środowisku kulturalnym Poznania od dawna już przejawiały się tendencje w kierunku zmian, jakich świadkami jesteśmy obecnie. Weźmy dla przykładu popularny Chór Chłopców i Męski przy Państwowej Filharmonii. Przez wszystkie minione a trudne lata — w jego repertuarze stale znajdowały się utwory Gomółki.

...nie miał racji jeden z naszych czytelników, mgr St. S., który przed paru dniami zwrócił się z zapytaniem do redaktora naczelnego „Fermetów” dlaczego rezygnujemy z suwerenności i niezależności i czy to prawda, że sprawy naszego rzemiosła zależne są od Moskwy. Po wyjaśnieniu, że chodziło tu o przyjazd do Poznania ministra drobnego przemysłu i rzemiosła ob. Moskwy (patrz bratni organ „Głos Włp.” nr 239, str. 6), czytelnik nasz uspokojony opuścił lokale redakcyjne.

Wszystko to obecnie stanowią mi jak żywo przed oczami. Mój głód wiedzy został w pełni zaspokojony. Ach, jak jestem szczęśliwy. Proszę przyjąć panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

B. K. (nazwisko i adres nieznane redakcji)

Od red.: Dziękujemy pańską radość. My również byliśmy w Dziale Kadr i przeżyliśmy swoje poufne opinie z ostatnich 10 lat.

nowe książki

A. Perłowski: „Stracone złudzenia”. Pamiętniki z okresu pobytu w Poznaniu. Z przedmową i popiersiem autora. S. Olek: — „Jak przemawiać w imieniu katolików”. — Wskazówki praktyczne dla mówców wiecowych.

z listów do redakcji

SŁUSZNE POCIĄGNIĘCIE

Człowiek, panie Redaktorze, nigdy siebie nie zna na tyle, by mógł na ten temat powiedzieć coś pewnego. Do dnia dzisiejszego odczuwałem pewien niedosyt wiedzy o samym sobie. Nie wiedziałem, jakie są moje słabe strony, jaki mam stosunek do otaczającego mnie świata, czy jestem po tej, czy po tamtej stronie barykady, czy też może siedzę na niej okrajką. Nie wiedziałem też, czy żona mnie tyranizuje i jakie były moje powązwania ze Stanisławem Mikołajczykiem. Absolutnie nie zdawałem sobie sprawy z drugocowego faktu, że w marcu 1951 r., tłumacząc się perfidnie nieznaną, nieznajomością tematu, odmówiłem pomocy w montowaniu gazetki ściennej z okazji Święta Kobiet.

Wszystko to obecnie stanowią mi jak żywo przed oczami. Mój głód wiedzy został w pełni zaspokojony. Ach, jak jestem szczęśliwy. Proszę przyjąć panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

B. K. (nazwisko i adres nieznane redakcji)

Od red.: Dziękujemy pańską radość. My również byliśmy w Dziale Kadr i przeżyliśmy swoje poufne opinie z ostatnich 10 lat.

Handlowe „Konsum”.

Większa ilość złotych flaków sprzedaje natychmiast Państw.